

„Fifty-fifty” w POSK-u

Stanisław Tym, autor wystawianej obecnie sztuki w Teatrze Nowym w POSK-u nazwał ją komedią, ja nazwałabym ją farsą, albo farsokomedią, przypominającą (szczególnie w akcie pierwszym) słynne francuskie farsy (włącznie ze zdejmowaniem spodni) Caillaveta i Flersa czy Feydeau.

Farsa jest najtrudniejszą formą teatralnego wyrazu, zarówno dla autora, jak reżysera i aktorów. „Fifty-fifty” nie jest sensu stricto farsą klasyczną, bo choć akt pierwszy zawiera w sobie wszystkie atrybuty farsy — z szaleństwa przechodzimy w następne szaleństwo, z nieporozumienia w nieporozumienie, to akt drugi pokazuje dość ponury, choć podany w formie farsy obraz rzeczywistości Polski lat 80, dobrobytu gierkowskiego, „małej stabilizacji”. W pierwszym akcie śmiejemy się nieopanowanie, zaskakiwani nie kończącymi się „qui-pro-quo” sytuacji i charakterów postaci — w drugim śmiejemy się również, ale śmiech ten nie jest wesoły. Śmiejemy się bowiem z sytuacji tamtego okresu, oszustwa, okradania współobywateli i państwa, rozbicia karier zbudowanych właśnie na oszustwie. Ten akt dzieje się w noc Sylwestrową w willi jednego z prominentów, urządzonej zarówno bogato jak i bez smaku, wyposażonej we wszelkie zachodnie „gadżety” — spełnienie marzeń o dobrodziejstwach jakie daje Zachód. Akt ten powiewa duchem niepokoju i smutnego przypomnienia tej, na szczęście, minionej epoki. Szaleńcza zabawa, korowód rozbawionych postaci, tych poprzebieranych krów, owieczek, żabek itd. — mimo śmiechu publiczności (bo naprawdę w reżyserii Bogdana Hussakowskiego — zabawa jest na „sto dwa”) nasuwa poważniejsze refleksje i „toutes proportions gardées” tańca w „Weselu” Wyspiańskiego.

Po to, aby ten kontrast pierwszego i drugiego aktu zwał się konsekwentnie potrzeba jeszcze pewnego dotarcia (głównie reżyserskiego) — co na pewno będzie miało miejsce na następnych przedstawieniach. Może za poważnie patrzeć na tę w zasadzie zabawną satyrę, może chcę w niej ujrzyć więcej niż w niej jest. Nie wątpię, że publiczność będzie się na niej szczerze bawić i śmiać, gdyż tak, jak pisze p. Broncell — nasza publiczność

Tamara Karren

chce się śmiać i to reguluje od lat nasz repertuar — ale czy rzeczywiście chce się tylko śmiać? A czy na tym przedstawieniu można się nie śmiać i nie bawić oglądając takiego aktora jak Mieczysław Czechowicz — najlepszy chyba od lat aktor komediowo-charakterystyczny. Partneruje mu utalentowana aktorka Teatru Powszechnego w Warszawie Ewa Dałkowska, głupiutkie żoniatko, które dużo

zgrabne i nie żałujące nam swych wdzięków. Panowie zabawnie ośmieszają samych siebie. Należy się im uznanie, że przyzwyczajeni do głównych ról — przyjęli tak małe a tak potrzebne w tym spektaklu. Są to: aktorka z Polski Jolanta Banak, kryjąca pod maską krowy groźną twarz żony wysokiej szyszki partyjnej, Anna Kaźmierczak jeszcze raz pokazała nam swe piękne nogi i inne swe uroki (Króliczek); Krystyna Podleska o nie gorszych nogach,



„Fifty-fifty” — scena zbiorowa

wie i ho! ho! dużo rozumie. „Nasz” Daniel Woźniak pokazał jeszcze raz, że oprócz talentu dramatycznego — jest świetnym komikiem — z tego najlepszego rodzaju „z cicha pęk”. Jego parą jest znakomita w roli pani wicewojewodziny z apetytem na życie i jego smakowite kaski, a przede wszystkim na szwedzkie kafelki do łazienki i japońską telewizję.

Nasz stosunkowo nowy nabytek, Tadeusz Chudecki, pokazał nam już wielokrotnie swój talent komediowy. Tu grał brawurowo zawodowego złodzieja, o ileż sympatyczniejszego od dostojników okradających państwo. A że był przy tym spryciarzem i utalentowanym krętaczem i przewyższał w tym swego ustosunkowanego teścia — to inna sprawa. A co zrobił po tym — nie powiem, aby nie psuć pointy. Tak jak w pierwszym akcie to on (Chudecki) prowadził, tak w drugim trzeba wyrazić ogólne uznanie dla świetnych i znanych naszych aktorów, że zagrali prawie nieme i dalekoplanowe dla akcji role — tych wszystkich poprzebieranych gości szaleństwa sylwestrowego, właściwie bezimiennych oprócz nazw masek, które noszą. Bez nich nie byłoby przedstawienia.

Wszyscy są zabawni, panie

po roli w sztuce Becketa w prestiżowym teatrze londyńskim, była skromną owieczką. Efektowną syreną była Matylda Szymańska. Jacek Jezierski był pełnym wdzięku i sugestywnych manier Aniołem. Za Smokiem i Turoniem kryli się skromnie Czesław Grocholski i Wojciech Piekarski. Janusz Sztybel, po tytułowej roli w naszym najlepszym przedstawieniu „Kandyd” zadowolił się rolą Diabła z korowodu balowego. Biedną panną z dzieckiem była adeptka kursów teatralnych PU-NO — Alicja Skowron. Z kim to dziecko i innych tajemnic nie wyjawię.

Znany scenograf Paweł Dobrzycki dał sugestywne wnętrza snobujących się na Zachód nowobogackich i doskonały, urządzonej na amerykańską dyskotekę „salon”, gdzie bawią się gierkowscy promieniści i ich dziewczyny. Bałagan celowy. Tę zabawę i te wszystkie smaczki zorganizowała nam Urszula Święcicka — kierownik Teatru Nowego.

**Książka? najlepszy lek
na samotność
smutek i zgorzknienie**